

...w teatrze można mnie w tej lub innej roli zastąpić. Przyjdzie inna aktorka, ładniejsza, bardziej utalentowana. Ale w roli matki nie zastąpi mnie nikt.

665

Główna rola Anny Dymnej

● Czy aktorki są dobrymi matkami?

— O to należałoby zapytać raczej nasze dzieci. Wydaje mi się jednak, że dziecko jest bardziej potrzebne aktorce niż jakiegokolwiek innej kobiecie. Nasz zawód nie daje gwarancji, że się będzie potrzebny do końca życia. Dziecko zaś nadaje temu życiu inny sens. Aktorka takiego sensu bardzo potrzebuje, by nie zwariować, nie rozpić się, nie robić jakichś głupstw w chwilach niepowodzeń czy bezrobocia.

Mnie dziecko i te wszystkie prozaiczne obowiązki z nim związane nie tylko nie przeszkadzają, ale wzbogacają. Po urodzeniu stałam się zupełnie kimś innym. Nabrałam koniecznego dystansu do tego, co robię. Bo nawet, gdy mi się nie powiedzie, zawsze dla dziecka mamusia jest najpiękniejsza i najlepsza. W teatrze można mnie w tej lub innej roli zastąpić. Przyjdzie inna aktorka, ładniejsza, bardziej utalentowana. Ale w roli matki nie zastąpi mnie nikt.

● Aktorzy są zwykle ludźmi bardzo zapracowanymi zazwyczaj na wszystko brakuje im czasu. Dziecko jest dodatkowym obciążeniem.

— Granie w teatrze i równoczesne wychowywanie dziecka jest tak trudne, że wydaje się nie do pogodzenia. Całe szczęście, że pomaga mi moja matka, koleżanki i koledzy w teatrze oraz inni dobrzy ludzie.

O 9 wybiegam do teatru. Wracam o 15 robiąc po drodze zakupy. Zwalniam jedną panią od dziecka, o 18 przychodzi druga, a ja biegnę na spektakl.

Muszę zrobić to wszystko i jednocześnie nie może na tym ucierpieć moja praca. Dziecko jest dla mnie najważniejszym celem w życiu, to zresztą biologiczna potrzeba kobiety. Postawiłam na jedną kartę. Po urodzeniu przytyłam 30 kilo. Mogłam nie wrócić do zawodu. Ale zdawałam sobie sprawę, że nie mogę przestać grać. Bo, żeby mnie dziecko ceniło, muszę być kimś. Nie mogę mu powiedzieć w przyszłości, że „mamusia poświęciła dla ciebie wszystko”. Wtedy ono pewnie odpowiedziałoby: „to dlaczego byłaś taka głupia?”. Dziecko nie musi rozumieć takich poświęceń.

● Mówi się, że z aktorką jest podobnie jak ze sportsmanką. Urodzenie dziecka jest przełomem w karierze. Czy pani nie było żal stawy i ról jeszcze nie zagranych?

— W aktorstwie takim przełomem jest raczej moment, gdy



CAF — M. SOCHÓR

dziewczyna przemienia się w kobietę. Kiedy jest młoda i śliczna, gra dużo, choćby była nie najlepszą aktorką. Po trzydziestce przechodzi się ten niebezpieczny próg. Czar młodości przyska. Zostaje talent lub brak talentu, warsztat aktorski, umiejętności i... nagle może się okazać, że jest się niepotrzebnym. Poza tym aktorek po trzydziestce jest bardzo dużo, a ról dla nich mniej. Więc nawet gdybym nie urodziła Michałka, ryzyko byłoby podobne. Mając tę świadomość, byłam spokojna.

● Do tej pory grała pani przeważnie rolę pięknych dziewcząt. Dziecko jest dla kobiety przepustką do dorosłości. Może po prostu znudziło się pani nazywanie jej Anią, a chciała się stać Anną?

— Ja mając 20 lat byłam już bardzo dorosłą kobietą. Choć rzeczywiście ostatnio dostaję wiele ról, w których nie muszę już być taka głupia i śliczna. Wymaga się ode mnie czegoś więcej i to jest szczęście.

● Gra pani w krakowskim Teatrze Starym między innymi w „Republice marzeń”, „Platonowie”, „Zemście”. Lecz widzowie ostatnio nie oglądali pani w „dorosłych” rolach na ekranach kin i telewizorów.

— Po urodzeniu dziecka przez trzy lata nie pokazywałam się na planie filmowym. Przez pewien czas otrzymywałam siłą poślizgu propozycje takie, jak kiedyś. Ale uważa-

łam, że nie mogę stracić ani jednej godziny dla jakiegoś głupiego filmu, który mnie ani nie bawi, ani nie interesuje, gdy mogłabym tę godzinę spędzić z dzieckiem.

Później przestraszyłam się trochę. Ale ostatnio zagrałam rolę Berty w „Wygnańcach” J. Joyce’a reżyserowanych przez Kazimierza Kutza i baronową w filmie Andrzeja Domalika „Schodami w górę, schodami w dół”. Powoli wracam więc na ekran.

● W jednym z wywiadów wspomniała pani także, że grać będzie rolę Małgorzaty w „Mistrzu i Małgorzacie” M. Bułhakowa.

— Tak. „Mistrz i Małgorzata”, to jedna z pięciu moich najbardziej ulubionych książek. Uważam, że rola Małgorzaty w filmie Macieja Wojtyzki, będącym wierną adaptacją książki, jest bardzo ważną rolą w mojej tak zwanej karierze. Po pierwsze sam fakt, że zaproponowano mi tę rolę świadczy, iż nie wyglądam jak potwór. Ponadto jest to rola niezwykle trudna, niektórzy twierdzą, że wręcz niemożliwa do zagrania. Chciałabym im udowodnić, że nie mają racji.

● Gdy była pani dzieckiem, rodzice zapisali panią do dziecięcego teatryku Jana Niwińskiego. Miała pani niespełna 17 lat, gdy zdawała do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Michał — pani syn ma teraz 2,5 roku, czy później, jak nieco podrośnie, postąpi pani tak, jak jej rodzice?

— Z Jankiem Niwińskim mieszkaliśmy w tej samej kamienicy. Rodzice w żaden sposób nie wpływali na moje decyzje.

Ja uważam przede wszystkim, że człowiek rodzi się po to, aby pracować, bo Adam z Ewą zgrzeszyli w raj. Od pracy się nie ucieknie i ona może dać największe szczęście, jeśli robi się to, co fascynuje. Jeżeli na przykład Michał zapragnie zostać lotnikiem, albo górnikiem, to chociaż będę się bała o jego życie, nie powiem „nie rób tego”.

Dziecko trzeba obserwować. Jeśli ma jakieś uzdolnienia i zamiłowania to będę w nim je rozwijać. Być może zapragnie zostać aktorem. Nie będę mu wtedy w tym przeszkadzać. Znam się trochę na tym i kiedy zauważę, że jest „moga”, szczerze mu to powiem. Bo życie aktora bez talentu jest najbardziej upokarzające.

● Dziękuję za rozmowę.

PAWEŁ WRÓŃSKI